№ 16. Warszawa, dnia 7 (19) Kwietnia 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

BERTEL THORWALDSEN.

Pięćdziesięcioletnia rocznica śmierci wielkiego sztukmistrza, rzeźbiarza Thorwaldsena wywołała wspomnienie jego nieśmiertelnych zasług w zakresie pięknotwórstwa, i ludzie przypominają sobie zarazem, jak upłynęło jego życie, a obok tego jak tworzył, pragną wiedzieć co czuł, co myślał—jak radował się i jak cierpiał. Podanie niesie, że urodził się na morzu, wśród ryku fal wzburzonych i ognistej łuny błyskawic, których wspaniałym widokiem pociągnięta matka jego młoda czuwała na pokładzie okrętu, płynącego do Kopenhagi. Ojciec jego był synem niezamożnego pastora, zamieszkującego osadę Myklabo w Islandyi, wywodził się przecież ze starożytnego rodu szlacheckiego, który początkiem swoim sięgał owych śmiałych, rycerskich żeglarzy, zwanych królami morza. Byli to w gruncie rzeczy rozbójnicy morscy, którzy na wzór feudalnych baronów, dopuszczających się na lądzie gwałtów bezprawnych, popełniali je na morzu, ale schyłek XVIII-go wieku już tego nie dopuszczał i młodzieniec udał się spokojnie do Kopenhagi, aby jako drzeworytnik na chleb pracować; tutaj poznał, pokochał dobre, łagodne dziewczę, córkę kmiecia z Jutlandyi.

Ożenił się, przecież małżeństwo nie było szczęśliwe, bo młody mąż nie pilnował domu, gdzie też wkradł się niedostatek, i wychowanie dziecka cierpiało na tem; ale ta iskra boża, które zaniedbane chłopię przyniosło na świat ze sobą, uratowała przyszłego mistrza. Ojciec, chcąc wyciągnąć większe korzyści ze współpracownictwa z nim, zapisał go w 1791 r. do akademii sztuk pięknych, gdzie pod kierunkiem malarza Abilgarda, który talent jego prędko odkrył, uczył się rysunku. Ale ojciec chciał przedewszystkiem mieć w nim dobrze zarabiającego robotnika, i gdy młodzieniec otrzymał po ukończeniu pierwszego oddziału studyów medal srebrny, już mu na drugi przejść nie pozwolił; Bertel przecież miał w sobie tę iskrę bożą, która niełatwo zagasić się daje. Jako wolno pracujący do akademii uczęszczał i na konkurs z małym medalem złotym przesłał pracę swoją „Chrystus uzdrawiając kulawych“, za którą wszakże przyznano mu wielki medal złoty. Przynosił on zdobywcy trzyletnie stypendyum na podróż zagranicę z celem wyższego kształcenia się w sztuce. Ale rodzice nie prędko puścili go od siebie, aby z dochodu procentów od summy tej korzystać, a młodzieniec, dobrego, tkliwego serca, był posłusznym, chociaż cierpiał w milczeniu.

Przyszła nakoniec chwila, iż go z domu wypuścić musiano; lecz wtedy nawet, gdy już wyjeżdżał, nie zdobył się na odwagę, aby wszystkie pieniądze na drogę przeznaczone na użytek własny obrócić. Pensya wypłaconą mu została złotem, i on znaczną część tych pieniędzy matce oddał, wybrawszy na ten podarek miłości synowskiej najnowsze, błyszczące dukaty, a poprzednio już chciał się podzielić tem bogactwem swojem z kollegą, który też brał udział w konkursie, lecz tylko list pochwalny otrzymał. Młodzieniec wskutek tej dobroci serca musiał być dla siebie bardzo oszczędnym, a że mu jeden z jego artystycznych opiekunów wyrobił bezpłatne miejsce na fregacie dążącej do Malty, on wdzięcznie to przyjął i w sierpniu 1796 r. puścił się w podróż, która na statku tym bardzo powolną i na różne przygody tak wystawioną była, że młodzieniec dopiero w początkach marca 1797 r. stanął u celu—w Rzymie.

A święcił on potem przez lata wszystkie ten dzień, jakoby narodzin do życia nowego. Jakkolwiek już w Kopenhadze odtwarzał z dobrych odlewów arcydzieła starożytnej sztuki greckiej, oryginały ujrzane wprawiły go w zachwyt taki, jaki czuć może tylko artysta prawdziwy z iskrą świętą w łonie. Wyobraźnia młodzieńca rozgorzała, roznamiętniła się; pomysły cisnęły się tłumnie, domagając się aby z dziedziny marzeń przeszły w rzeczywistość, ale mimo to nie zapomniał tego, co pozostało w tyle. Kopiom ze starożytnych arcydzieł, których protektorowie jego żądali od niego, poświęcił się najpierw: uczciwie, cierpliwie przykuł się do tej pracy, i dopiero, gdy z obowiązku się wywiązał, uczuł się panem woli swojej, a pierwszą pracą orginalną była grupa niewielkich rozmiarów: „Bachus i Aryadna.“

Z kolei przyszło kilka popiersi z żywych wzorów. Najlepszy zpośród nich na podarunek dla matki przeznaczył, ale w Kopenhadze nie umiano dostatecznie ocenić tych utworów, w stylu starożytnym trzymanych. To, co przesyłał, nie znajdowało nabywców, a jemu ciężyło to na sercu, że pieniędzy ofiarowanych mu na drogę oddać nie mógł. Już poczęła ogarniać go rozpacz, zwłaszcza, że wykonany przez niego model naturalnej wielkości z zakresu starej sztuki greckiej, „Jazon,“ nie zwrócił na siebie uwagi w Rzymie; nikt nie zgłosił się do niego z żądaniem, aby wykuł go w marmurze, i przyszła chwila ta ciężka, że zwątpił o sobie. To, co nazywany zdrowym rozsądkiem: rozum stosujący się do okoliczności, nakazywał mu do ojczyzny wracać—wracać z gorzkim, przeciwko samemu sobie zwróconym zarzutem, że przez miłość własną sięgał po sławę, a otrzymał tylko upokorzenie. Już się do drogi z powrotem wybierał, już kufry podróżne były spakowane, powóz mający go wieźć do domu był już na poranek dnia następnego zamówiony, gdy naraz zjawił się gość dostojny, bogaty miłośnik sztuki, lord Hope, aby model Jazona obejrzeć.

Obejrzał i uznał, że jest to dzieło sztuki wyższej, zapragnął też posiadać je w marmurze karraryjskim wykute—zapragnął innych dzieł jego rylca, a było to dla zrozpaczonego artysty jakgdyby

liną ratunkową, rzuconą tonącemu już wśród fal morskich rozbitkowi, bo cierpiał w młodzieńcu nietylko artysta. Kochał... kochał piękną, także sztuce poświęcającą się kobietę: Annę Maryą Magnani; miłość ta stanęła mu przecież przeszkodą tylko do pracy i szczęścia. „Jazon“ dopiero w lat kilka został w marmurze wykuty, że jednak mimo słabości woli w zakresie pewnym młodzieniec nie zatracił w sobie poczucia obowiązku, odsyłając na koniec dzieło skończone dołączył do niego popiersie starszego syna lorda Hope oraz dwie w marmurze wykute płaskorzeby, którym towarzyszył list z przyznaniem się do winy i wyrazami wdzięczności; w liście tym bez fałszywego wstydu odkrył Thorwaldsen angielskiemu magnatowi, jakiem było jego położenie w chwili, gdy ten do pracowni jego zapukał.

Był to w życiu artysty moment nietylko pod tym jednym względem wiele znaczący. Posąg Jazona zyskał sobie w Rzymie wśród znawców sławę wielkiego dzieła sztuki, opinia ogółu postawiła jego twórcę w jednym rzędzie z Canovą, a arcydzieła następowały teraz po arcydziełach: posąg Ganimeda z orłem, Bachus, grupa Amor i Psyche, Wenus, Apollo, stanowiły szereg arcydzieł i zaczęto stawiać teraz dzieła obydwóch mistrzów na jednym poziomie. Mytologiczne posągi Canovy zyskały mu sławę rozgłosną, ale był to przedewszystkiem wdzięk czarujący oczy, gdy dzieła Thorwaldsena, w charakterystyce swej głębsze, szlachetniej uduchowione, podnosiły, bo i artysta sam stał na wyższym szczeblu tej drabiny, która wiedzie ludzi w sfery wzniosłego ideału. Czuł silnie, pojmował głęboko, a że z drugiej strony umiał być poetycznie wdzięcznym, dowiodła płaskorzeźba „Taniec muz na Helikonie,“ po wykonaniu której zaproszonym został na członka akademii florenckiej. Teraz powstały dalsze arcydzieła: „Pryam proszący Achillesa o wydanie zwłok Hektora,“ „Ganimed i orzeł“ i inne.

„Pożegnanie Hektora z Andromachą“ stworzone było o wiele lat później, już w starości, która przecież nie zdołała wyziębić serca, obniżyć lotu wyobraźni, i dzieło to przez głębokość uczucia, przez spokojną powagę boleści zajmuje niemal pierwsze miejsce wśród utworów mistrza i jest wysoce dramatycznem. Andromacha stoi, o ramię męża oparta, w cichej boleści wzniosła, Hektor oddaje opiece bogów synka, który ma zostać sierotą, a Parys przybliża się już, aby wraz z bohaterem pójść na bój. Lecz za długo-by było wyliczać tu wszystkie dzieła mistrza; jego płaskorzeźby są przedewszystkiem pełne poezyi, uczucia i głębokiego na życie poglądu. „Pochód Aleksandra do Babilonu“ zalicza się do najwspanialszych dzieł rzeźby nowożytnej; wyszedł on z pod jego dłuta w 1812 r., gdy Napoleon miał do Rzymu przybyć i w Kwirynale zamieszkać, a sławnemi po wszystkie czasy będą jego lwy, tworzące pomnik dla gwardyi Szwajcarów poległych przy szturmie Tuileryów.

Dzieła z mytologii greckiej—to piękno inne, inna poezya: Wenus, Hebe, Adonis to wdzięk czarownych uroków pełny i zawsze świeży, a pracowite były studya, któremi mistrz poprzedzał każdą pracę swą nową: foliały ksiąg przeczytał, pomniki, zabytki starożytnej sztuki badał; dzieła jego były też opłacane ogromnie: za pochód Aleksandra otrzymał 15.000 skudów, ale za szlachetnym był, duch mieszkający w jego piersi był za wzniosły, aby pieniądz, zysk wyższy lub niższy, grał tu rolę jakąś. Do najwdzięczniejszych utworów jego należą medaliony „Wiosna,“ „Dzień,“ „Noc“—postacie dziewicze czarownego powabu, a każda według odpowiedniej charakterystyki przedstawiona w piękności klassycznej. „Dzień“ to dziewica skrzydlata, pogodnie wesoła, która, powietrzem płynąc, kwiaty róż na ziemię sypie, a śliczne chłopiątko, u szyi jej jedną rączką uczepione, trzyma w drugiej wysoko podniesioną pochodnię, rozlewającą jasność wśród ciemności. „Noc,“ to ta sama dziewica skrzydlata, której oczy przysłaniają teraz w dół spuszczone powieki, a która uśpioną już dziecinkę, z główką o ramię jej opartą, wdzięcznie do siebie tuli. A wszystko to w allegorycznej swej charakterystyce jest pełne niewysłowionego wdzięku. Bo też mistrz, mimo wielkiej siły wyobraźni, z ogromną pracowitością zbierał wrażenia piękna wśród żywej natury dostrzegane.

Nieraz stawał na ulicy przed jakąś postacią, która go uderzyła wyrazem swoim, charakteryzując uczucie, namiętność, lub spokój cichy, i potem zachwycał też w dziełach swoich widza uduchowieniem przedstawionych ludzi i małżonka Humboldta, kobieta niepospolitego umysłu i znawczyni sztuki, zobaczywszy posąg Nadziei, tak zapisała w dzienniku swoim wrażenie otrzymane: „Jakże boskim jest ten posąg! jak zdaje się wzlatywać z podstawy swojej, jakkolwiek stoi silnie na niej oparty...“ Canova, oglądając posąg Adonisa, z zachwytem woła: — „Boskim jest w twórczości swojej człowiek, który dzieła takie, żywem życiem tchnące, wykonywać umie!...“

Podobnego wrażenia doznawali ludzie najrozmaitszych usposobień ducha, jeżeli tylko stali na wyższym poziomie życia. Kroniki owych czasów zanotowały wyraz uwielbienia, którym przenikał ich widok tych arcydzieł, a mieszczą się w ich liczbie Humboldt, Oehlenschläger, Byron, Walter Scott, Horacy Vernet i wszyscy niemal wyżsi ludzie owego czasu, którzy piękno wzniosłe czuć i znaczenie sztuki wśród ludzkości pojmować umieli. Portretów mistrza, wykonanych przez najsławniejszych malarzy owego czasu, jest kilka, a każdy z nich uwydatnia dziwnie spokojny charakter jego fiziognomii i w oczach tylko jaśnieje odblask świętego ognia, który w nim gorzał, gdy jakieś piękno szlachetne oczom jego się ujawniło—gdy o sztuce, o jej przeznaczeniu wśród ludzkości mówić począł.

Sztuka też przywiązywała go silnie do Rzymu—przywiązywała go również nieszczęśliwa, bo niedobra miłość do owej lichej zalotnicy, Maryi Magnani, która go przez lat wiele w pętach swoich trzymała. Wyleczyło go przecież z tej namiętności uczucie wyższego natchnienia, wzbudzone w sercu, nietylko przez równie piękną, ale wysoko wykształconą, wzniosłego, szlachetnego pojęcia życia szkotkę, miss Mackenzie. Że przecież było w nim namiętne uwielbienie piękności, przyszła z kolei miłość jedna jeszcze, której przedmiotem stała się równie piękna i ukochania godna kobieta, Fanny Caspar, Rzymianka Ona to wpłynęła na ostateczne zerwanie z bałamucącą go zalotnicą. W tych-to czasach stworzył on nietylko artystycznie piękne, ale symbolicznie wzniosłe dzieło „Geniusz życia i geniusz śmierci“ a serce jego, oczyszczone ze złej namiętności, uczuło tęsknotę za pięknem czystem. Potrzebował też odetchnąć innem powietrzem, a gdy wkroczył w granice Danii, uczuł że się coś w nim przetwarza, że wraca do swojej dawnej, czystej, szlachetnem ideałom oddanej młodości—że wszystko w koło siebie kocha tak, że chciałby wyciągnąć ramiona i ludzi, cały otaczający go świat przytulić do piersi. A gdy go stróż domu, w którym chciał nająć mieszkanie, powitał okrzykiem:—Bertel!... on, dźwięk głosu tego poznawszy, rzucił się w objęcia starego sługi rodziców swoich i przytulił mu się tak do piersi, jak gdyby szukał tam ratunku przed tem, co było złym duchem jego życia.

Otoczyły go też teraz duchy dobre i został się z niemi, a one już go nie opuściły odtąd, i choć potrzebował do Rzymu znowu jechać dla dobrania marmuru na popiersia rodziny królewskiej, których wykonanie powierzonem mu było, już go złe uroki nie opadły. Droga jego szła na Warszawę, tu zawarł umowę co do pomnika Kopernika, a i w Krakowie był przyjmowany z wyrazem wielkiej czci dla talentu swego i szlachetnie pojmowanej sztuki. Brakowało mu może tego uczucia głęboko religijnego, pod którego wpływem Wieki Średnie niespożyte piękno w zakresie dzieł religijnych tworzyły, ale był poetą w głębi duszy i w miarę jak ręce do pracy przyłożył, pierś mu się rozszerzała, jak świadczą o tem jego prace w kościele Najświętszej Panny w Kopenhadze. Posąg Chrystusa Zbawiciela z podpisem „Chodźcie tu do mnie wy, którzy jesteście obciążemi...“ zalicza się do rzędu jego prac wyższych.

Po pewnym czasie wrócił do Rzymu, ale teraz włoscy rzeźbiarze, zazdrością wiedzeni, wystąpili przeciwko niemu, zwłaszcza wtedy, gdy kardynał Consalvi powierzył mu wykonanie nagrobka Piusa VII, który miał stanąć w kościele S-go Piotra Podniesiono głos szemrzący iż on, protestant, nie powinien tu ręki przykładać, ale Papież, który tego protestanta wyniósł na godność prezydenta akademii San Luca, odpowiedział szemrzącym: zali to nie jest najwyższego talentu rzeźbiarz w Rzymie? Nie z chciwości grosza, ale z namiętnej miłości sztuki, miłości tworzenia, przyjął artysta propozycyą, z Ameryki mu przesłaną, wzniesienia pomnika poległym w 1801 r,. w walce na morzu i kilka jeszcze ofiarowanych mu prac, a zewsząd się do niego ciśnięto, co już było jeno wysokiego talentu świadectwem oraz następstwem naturalnem. I stał się też człowiekiem sławnym a wszystkie dzieła jego sztuki były cenione niemal na wagę złota, ale z natury skromny, nigdy zbytkownego życia nie prowadził i służący jego, Wilcken, który ze wspomnień o nim pamiętnik po śmierci mistrza skreślił, mieści tam wiele wzruszających szczegółów, świadczących o dobroci jego serca dla mniej, niż on, szczęśliwych artystów i ich rodzin. Niejedno też z dzieł swego dłuta, za które mu złote góry dawano na własność swą zatrzymał, a jego galerya sztuki, obrazów zwłaszcza, mieściła wiele takich, które jedynie z dobroci serca nabywał, skoro dowiedział się, iż jaki niezamożny artysta grosza potrzebuje. Ludwika Seidler, którą stosunek wieloletniej przyjaźni z mistrzem łączył, dużo szczegółów z tego zakresu w pamiętnikach swoich zamieściła, jak wiele dobrego niezamożnym artystom świadczył, jak im opinią wyrabiał i chciwym był w jednym tylko zakresie: w gromadzeniu przedmiotów sztuki, których zbiór wysokiej wartości narodowi duńskiemu ofiarował.

Przebywał jeszcze wtedy w Rzymie; kraj go przecież do powrotu na łono swoje wzywał i nietylko ofiarowywał mu wielkie korzyści materyalne, lecz pragnął z dzieł jego muzeum osobne utworzyć i gmach wspaniały na to przeznaczał. On przecież, skromny i głęboko kraj kochający, uważał, że to i co robił, robił z potrzeby własnego serca, więc wysokich tych honorów się zrzekł, co naród jego i król ocenić umieli. W 1830 r., wysłano umyślnie do Livorno fregatę, któraby mistrza i skarby pracy jego do ojczyzny przyniosła i ubogi stypendysta, który walcząc z niedostatkiem dla miłości sztuki kraj i wszystkie stosunki swoje opuścił, wracał teraz do ojczyzny człowiekiem sławnym, obdarzonym wszelkiemi możliwem i honorami, między któremi mieścił się najwyższy w Danii order „Danebrog,“ przynoszący obdarowanemu nim godność szlachecką, a chociaż on godność tę, jako dziedzictwo swego rodu, już posiadał, przecież dołączono na pomniku do jego herbu boga Thora z dewizą szlachetną, wyrażającą miłość jego i zasługi dla ojczystej ziemi.

Własny jego posąg, w Rzymie też wykuty, przedstawia go w naturalnej wielkości z młotkiem rzeźbiarskim w prawej ręce, gdy lewą opiera się na postaci niewieściej ze złożonemi jak do modlitwy rękami. Nadzieja to jest i symbolika ta charakteryzuje człowieka. Oczy jego zamknęły się w 1844 r. w Rzymie, gdzie przybył, poszukując wśród starożytnych zbiorów pomysłu na fronton królewskiego zamku w Kopenhadze, a była to śmierć nagła, pęknięcie żyły sercowej Śmiertelne jego szczątki spoczywają też w Mieście Wiecznem, które on drugą ojczyzną swą czynił, w mauzoleum tak wspaniałem, że żaden magnat świata pyszniejszego mieć nie może, a które on zawczasu tam sobie zbudował. Szczątki jego po upływie pół wieku w proch się rozsypały, ale to, co zostawił ludzkości w skarbach wzniosłego piękna, żyje i działa unieśmiertelnione.

.....

POGAWĘDKA.

Gdy pod pięknem niebem Włoch, w krainie, gdzie rosną cytryny i pomarańcze kwitną, nie więcej, jak parę tygodni temu, śniegi mroziły ludzi; gdy przed kilku dniami doniosły nam telegramy o burzy śnieżnej szalejącej nad Atlantykiem, która niemało okrętów wraz z ludźmi pogrążyła w falach oceanu: my, mieszkańcy chłodniejszego kraju, którym rzadko słońce nie przez chmury i mgły przyświeca, których częściej ostry, nieprzyjazny wichr uszczypnie niż pierś owionie łagodny powiew wiatru — od miesiąca już przeszło cieszymy się ciepłem wiosennem i lada chwila oczekujemy zieleni i kwiatów. Już to i zima tegoroczna nie po-macoszemu się z nami obeszła. Na samym tylko początku pogroziła nam kilku uczciwemi mrozami, a później, jakby litością przejęta, może zresztą jaki dobry duch jej szepnął o futrami i paltotami przepełnionych lombardach, o wielkiej liczbie biedaków, któremi pani Harthing'owa się zajęła—roztkliwiła się i przytrzymała na uwięzi rwące się do tańca boreasze, a niepewne, szare chmury rozpędziła precz ze sklepienia nie bieskiego.

I coraz cieplej, i coraz jaśniej—powoli, ale nieustannie rozpękają pączki na drzewach i krzewach, rozwija się liść po liściu, ziemia coraz zieleńszym kobiercem się pokrywa.

Lecz, o ile my, mieszkańcy Warszawy, cieszyliśmy się z tej zimy łagodnej i kołatania do okien naszych tak wczesnej wiosny—o tyle gospodarze wiejscy z trwogą patrzyli na żytnie i pszeniczne łany, ogołocone z pokrycia śnieżnego, wystawione na harce wichrów marcowych lub deszczów szkodliwych. Tymczasem decydujący prawie o urodzaju miesiąc nieoczekiwanie minął cicho, a zatem pomyślnie.

Urodzaj zapewniony: ominęła nas jedna z nieuchronnych klęsk prawie.

Będąc sam niegdyś gospodarzem, zanim losy kazały mi zaprządz się do innego całkiem pługa, cieszyłem się z dobrych rządów matki - natury, myśląc, że radość moją dzielą i ci, którzy ziarno pszeniczne w pocie czoła do czarnej gleby rzucili.

Radość moja była przedwczesna, spotkanie się z jednym i drugim rolnikiem przekonało mię o tem.

— Co? spytacie — może grozi klęska nieurodzaju?

Przeciwnie! ziarno przezimowało dobrze, jędrne i zdrowe wydobywa się z ziemi. Obawy niema, jest nadzieja, że plon będzie obfity.

Zatem?

Dziwną otrzymałem odpowiedź:

— Niema gdzie zboża spieniężyć, ceny są tak nizkie, że nie opłacą trudu podjętego przy roli.

Dowiedziałem się, że w okolicznych folwarkach pod Warszawą bardzo wiele znajduje się stert zboża z roku zeszłego, niesprzedanych dla tych cen właśnie. Jeżeli tak jest, jak mi o tem kilku gospodarzy mówiło, nie kręcąż się ci biedni gospodarze wiejscy w zaczarowanem jakiemś kole?

Nieurodzaj — klęska, urodzaj — nielepiej prawie!—W pierwszym wypadku niema co sprzedawać, w ostatnim - niema komu; a jeśli chętny nabywca się znajdzie, dawane przezeń ceny nie opłacają trudu. A cóż mówić o rozmaitych brakach, które zapełnić trzeba, o ratach Towarzystwa Kredytowego i innych wydatkach więcej duchowej natury, boć nietylko chlebem człowiek żyje! Jeżeli pod Warszawą, pod tem półmilionowem miastem potrzebującem tak wiele i tak wiele pochłaniającem, z zeszłorocznego urodzaju jeszcze stoi nietknięte zboże (oczywiście, że je zatrzymali ci, którzy, obracając jaką taką gotówką, zatrzymać mogli) — cóż się dzieje w dalszych okolicach kraju, gdzie konsumentów jest mniej, zbyt zatem trudniejszy, a rolnik zależy od wyzyskującego go handlarza? Zawarcie traktatu handlowego z Niemcami, bez wątpienia, wpłynie stopniowo na podwyższenie cen zboża. Nie podlega również wątpliwości, że skutki traktatu dadzą się odczuć w niedługim czasie, a stan rolnictwa naszego wtenczas znacznie się podniesie. Lecz kto wie, o czem wspominano już nieraz, czy ogół rolników, w tym *jedynym* tylko produkcie ziemi, jakim jest zboże, nie widzi *jedynej* tylko możności istnienia, zaniedbując inne gałęzie pracy? Gdy zboże chybi, nic go już poratować nie może, w przeciwnym nawet wypadku brak mu jeszcze czegoś, coby mu z pewną, rzetelną pomocą przyszło.

Od pewnego czasu rozwinął się w gubernjach królestwa przemysł mleczny. Jeżeli mu, z powodu różnych miejscowych warunków brak jeszcze należytego rozwoju, powoli, lecz dąży on naprzód i w dobrze urządzonem gospodarstwie wiejskiem ważną już rubrykę dochodu stanowi. Mówimy to o gubernjach królestwie, bo w południowo-zachodnich prowincyach, tradycyjna urodzajność gleby nie pozwoliła jeszcze gospodarzom o czem innem pomyśleć.—Tam, ślepa wiara w ową tradycyą, spuszczanie się zupełne na łaskę tłustej, czarnej ziemi — fatalne skutki wydały.

Zmieniły się czasy, zmieniły warunki. Miła oku, a licznym ożywiona płodem, nie płynie już tam ziemia ni mlekiem ni miodem. Sławne pasieki w zapomnienie poszły zupełne, a o produkcyi mlecznej niema co nawet mówić. Jeżeli pszeniczne ziarno chybi, a chybia dość często z powodu tradycyjnego gospodarstwa—właściciel kawała dobrej ziemi na losy narzeka i nieumiejąc ratować fortuny, pozbywa się jej lekkomyślnie.

To pozbywanie się przybiera zatrważające rozmiary, główną jednak przyczyną tej rzekomej kary niebios jest nic innego, jak lenistwo ducha i—niestety! coś jeszcze może...

W dzisiejszych warunkach, jeżeli nawet urodzaj dobry nie pociesza zbytnio, dla wyż wymienionych przyczyn, panów rolników—niezaniedbując uprawianego już pola, koniecznością jest i na inne zwrócić baczną uwagę. Wspomnieliśmy mimochodem o rozwijającem się coraz bardziej przemyśle mlecznym; dawniej na tem miejscu zwracaliśmy uwagę na w zaniedbaniu jeszcze spoczywające u nas pasiecznictwo; dzisiaj, korzystając z wezwania Towarzystwa jedwabniczego, które zawiadamia, ażeby ci, którzy się jeszcze, nie zgłosili (Biuro Tow. Nowy-Świat 4) po jajeczka pośpieszyli z ich żądaniem—parę słów chcemy o tym przedmiocie pomówić, a choć to nowiną dla czytelników naszych nie będzie, wiemy, że częste nawet nawoływanie do rzeczy użytecznej, zbytkiem nie grzeszy, a i bajka nas uczy, że pod ciągłem uderzeniem malutkiej kropli nawet twarda wydrąża się skała. Tem chętniej nawet o tych małych robaczkach snujących cienką, lśniącą nić jedwabną gawędzić będziemy, że panie nasze, mieszkanki wsi, narzekające częstokroć na nudy, będą mogły czas użyteczną a nieuciążliwą pracą zapełnić i stanąć w szeregu tych pracowników, którym się słusznie hołd wdzięczności za podjęte trudy około gospodarstwa krajowego należy.

Dziwi nas zamożność Francyi, która w nieszczęśliwej wojnie miliardy straciła, za karę napadu miliardy zapłaciła i dzisiaj — miliardami rozrządza. Nie dokonałaby tych cudów, gdyby sama w sobie bogatą nie była, gdyby zamożnym nie był ogół narodu. W znacznej części do tego bogactwa przyczyniła się hodowla jedwabników. Pierwsza morwa, bo jednego drzewka nawet w on czas we Francyi nie było, posadzona została pod Paryżem za czasów jeszcze Henryka IV przez p. Olivier de Serres. Zachęcił on swoich przyjaciół do zajęcia się nieznaną robotą, i gdy chętny posłuch znalazł, po upływie wieków przysporzył ojczyznie obfitego źródła bogactwa. Dzisiejsza Francya z hodowli tych niewinnych robaczków ma zysku rocznego 900 milionów franków.

Ale wieleż to wieków upłynęło? —spytacie.

Nie odrazu Kraków zbudowany — odpowiemy. Żyjemy zresztą nie dla siebie tylko, nastąpi ktoś po nas, krew z krwi naszej, kość z naszej kości. Niech nas jednak nie przerażają — wieki. Bogactwo Francyi wywinęło się z *jednej*, *jedynej* morwy, my znajdujemy się dziś w stokroć lepszych warunkach, niż ona była przed wiekami. W każdym miejskim parku czy ogrodzie niejedno drzewko morwowe znajdziemy zasadzone nie od dzisiaj; Warszawskie towarzystwo jedwabnicze chętnie nam przychodzi z pomocą, nietylko udzielając drzew do sadzenia, ale i jajek pożytecznych robaczków z wiadomością obchodzenia się z niemi. Umiejętności tu nie potrzeba wcale wielkiej, pracy zaś przy hodowli jedwabników w rzeczywistości nawet pracą nazwać nie można — tylko zajęciem nieuciążliwem, przyjemniejszem, tem bardziej, że łatwy a duży zysk przynosi. Niewieście rączki śmiało się tem zająć mogą, a czy nie znaczy nic to moralne zadowolenie, że się nie jest piątem kołem u wozu, że na szalę dorobku narodowego i swój własny grosz się rzuciło, że się podtrzymało byt własnej rodziny, że gdy na polu chybiło zboże lub ceny są liche—kokon jedwabniczy zapłacił opóźnioną ratę, pozwolił przeczekać chwilę krytyczną, a z czasem w zawody poszedł i z sandomierską pszenicą? Lubicie panie jedwabie, miękkość ich, połysk uroczy i szelest, który was otacza, gdy w zawrotny puszczacie się wir walca. Ale na ten strój jedwabny pieniądz, za pszenicę wzięty, zagranicę wychodzi. Francya stroi się we własne jedwabie; czy my z czasem nie będziemy mogli równie we własne się pióra ozdobić?

Początek trudny, to jest, nie początkowa praca—tylko ten początek, którybym nazwał *przymuszeniem siebie* do pierwszego się wzięcia, choćby do uczesania własnych włosów. Sprobujcie tylko, nie zrażając się zrazu małemi zyskami, a zobaczycie, jak one szybko w kwadrat urosną, jak obfitym plonem sypną. Nie filozofią jest żadną nauczyć się jedwabnictwa; są książki traktujące o niem, jest Towarzystwo Warszawskie, udzielające chętnie wskazówek. Tylko nie odwlekać do jutra, bo czas nie stoi. Wzajemna zachęta niech wam towarzyszy, szlachetny wyścig dodaje bodźca.

Przed laty prawie dwudziestu wyszło u nas dziełko p. Ludwika Gossin w przekładzie L. Sygietyńskiego: „Krótki rys hodowli morwy i jedwabników.“ Na początek i ta broszurka wam się przyda, a przeczytać wam radzę, choćby dla przekonania niedowiarków, że zajęcie, o którem mowa, pożyteczne jest i przyjemne.

Czyż prawdą-by to było, że z większą chęcią szukamy skarbów zakopanych gdzieś w ziemi, niż radzi jesteśmy wytwarzać sami te skarby? Widocznie jednak zagraniczni oszuści mają to dobre o nas mniemanie, pewnie na jakimś fundamencie oparte, gdy oto dowiadujemy się o nadesłanych przez pewnego pana, który się wabi Benito de la Verga, listów do Warszawy, aż z Hiszpanii, zawiadamiających o zakopannych przezeń skarbach tuż pod murami Syreniego grodu. Ów pan Benito, ścigany jakoby przez władzę hiszpańskie, jako spiskowiec, prawdopodobnie do Karlistów należący, ukrył się w naszem mieście, ale nie będąc pewny, czy i tu go nie dosięgnie ręka sprawiedliwości, mając przy sobie pieniądze, dwa miliony franków w złocie (ba! ba!) ukrył je w cynowej skrzynce i zakopał, w wiadomem oczywiście jemu tylko miejscu—pod Warszawą. Strach był nie próżny, bo dowiadujemy się z listów rebellizanta, że siedzi w kozie w Tarragonie. Ale z niej wyjść może za opłatą 14.500 franków. Uprasza tedy o przysłanie tej summy na ręce przyjaciela swojego pana José Gabord, a dobroczyńcy ofiaruje połowę ukrytego skarbu.

Przed laty kilku złapał się jakiś wróbel na plewę—ale wątpię czy drugi podobny znajdzie się. Zapewne, że przyjemniej wziąć bez żadnej fatygi milion okrągły złotych pieniążków, niż do tego miliona dojść, karmiąc robaczki morwowe. Ale te ostatnie pewniejsze są od solennych zapewnień pana Benito de la Verga. Niechże jednak ów pomysłowy syn Iberyi z wydobyciem swojego skarbu pośpiesza, bo jak się rozrusza nasz komitet plantacyi miejskich, to gotów, nie wiedząc nic o ukrytych milionach, miejsce owo drzewami zasadzić i wstępu do ponętnej kryjówki wzbronić. A szeroki zakres zadrzewień miejscowości różnych komitet plantacyi na r. b. przedsięwziął.

Na skwerach niektórych i w odnawianym ogrodzie Krasińskich mają być zasadzone iglaste

drzewa, następnie postanowiono obsadzić „Plac broni“ wiązami, co ma niezwłocznie nastąpić, jako też i urządzenie nowych skwerów przy ulicach: Dzikiej, Przejazd i Pradze. Rokrocznie tysiące drzew się sadzi w Warszawie, a jednak dziwnie nie zielono ta Warszawa wygląda. Aleje Jerozolimskie i Marszałkowska ulica powinny już być otulone całe zielenią, lecz odbywa się przy nich jakaś Penelopy robota! Zasadzone drzewa schną, sadzą więc nowe;—z przybyciem każdej wiosny widzimy kopanie jam, otulanie świeżo wkopanych drzewek, wydobywanie uschłych, i znowu sadzenie nowych i tak w kółko, wciąż w kółko.

Dla czego to tak?

Czy może ziemia zła; czy grunt nieodpowiedni rodzajom drzew, czy może...

Pst!...

„Jeżeli masz coś powiedzieć, zastanów się trochę...“

Mówiła mi niegdyś matka—lat temu...

I znowu—pst!...

Ach! dla czego tej znanej bajeczki nie powtórzyło sobie, jedno z pism naszych, które w tak płochy sposób napadło na p. T. Paprockiego, że na ostatniem zebraniu członków Towarzystwa ogrodniczego wybrany został czterdziestu głosami na członka tego zarządu, zamiast pana Szaniora?

— Ależ, mój złoty — mówił do mnie pewien nieprzyjaciel powyższego wyboru.—Paprocki jest księgarzem—jaki więc jest jego stosunek do Towarzystwa ogrodniczego?

— Ależ, mój srebrny—odpowiedziałem, naśladując tę samą intonacyą głosu.—Pan Szanior jest introligatorem—jakiż więc jego jest stosunek do towarzystwa ogrodniczego?...

Mój złoty wpatrzył się we mnie...

— Intro...—zaczął...

— ligator—dokończyłem. — Pan Szanior, jak i pan Paprocki mają do czynienia z książkami. Dlaczego pierwszy ma prawo być obranym członkiem zarządu, a ostatni nie?...

— To, to—nie ten Szanior, co to jest ogrodnikiem?

— A nie ten!...

— Dla czegoż jedno pismo warszawskie ogrodnikiem go zrobiło?

— A czy ja wiem dla czego...

— To musi być tajemnica redakcyjna.

— A naturalnie...

— Najprawdopodobniej pośpiech sprawozdawcy.

— Który nie odróżnił ogrodnika od introligatora, a tak zarzucał księgarzowi, że rzodkwi od pomidora nie odróżni.

Doprawdy! nie zła to jest bajeczka, którą mi ś. p. matka powtarzała:

„Jeżeli masz coś powiedzieć, zastanów się trochę...“

Ha, ale nikt nie jest wolny od grzechu, nawet panowie kollektorzy i panie kollektorki, którym urząd loteryjny, wyspowiadawszy ich z grzechów wszelkich chciał naznaczyć pokutę i zmienił sposób, praktykowany dotychczas, sprzedawania biletów. Dawniej panowie kollektorzy mieli kółko swoich dobrych znajomych, których obdarzali losami, ci zaś, którzy z posiadaczami losów nie byli połączeni żadnym węzłem pokrewieństwa albo zażyłszych stosunków—raz na zawsze odparci zostali od progów świątyni szczęścia. Nawet i ci powinowaci w różnych stopniach ledwie po marnej ćwiartce dostać mogli, bo *losy wszystkie* najsumienniej rozprzedawane były. Przed ciągnieniem jednak klassy drugiej zabłąkało się jakieś parę biletów, przed ciągnieniem do trzeciej znalazło się jeszcze kilka, do klassy czwartej już miano poważną ich liczbę, nikt zaś biletów nie wykupił do klassy piątej, któremi obdarzono pragnących los kusić. Obecnie wyznaczone są dnie, w których sprzedaje się bilety loteryjne; kto ma cierpliwość i czas od godziny szóstej z rana do dziesiątej przeczekać pod drzwiami kollektora, znieść przy tem szturhańców co nie miara—dostanie pożądaną ćwiartkę; komu zaś nie stało cierpliwości ani czasu, ten równie ją mieć będzie tylko—do klassy drugiej, trzeciej i następnych, bo pan kollektor, zniewolony usilnemi prośbami kusicielów fortuny, poświęci się, użyje wszystkich sił i—za dopłatą parą rubli nad cenę normalną, (bo ledwie z tym naddatktem sam los nabył „słowo honoru, dla pana to tylko zrobiłem“ a tych panów jest legion) pożądanego biletu dostarczy. I tak, mimo wszelkich starań urzędu loteryjnego, wyzysk trwa dalej, szwindel kwitnie w najlepsze, z tą tylko różnicą, że dla zdobycia do pierwszej klassy biletu potrzeba nieraz bój stoczyć u drzwi kollektorskich z pragnącymi posiąść względy fortuny.

Pogawędkę dzisiejszą kończę z wami, szanowni czytelnicy, pod świeżem wrażeniem koncertu urządzonego na cel „Rozdawnictwa odzieży dla biednych“. Tylko co wróciłem z Sali Muzeum, a wróciłem zupełnie zadowolony; gdyż i sala była doszczętnie zapełniona, i amatorowie przyjmujący udział w koncercie wybornie z przyjętego na siebie zadania się wywiązali. Trzy komedyjki, których reżyseryą zajął się pan Kotowski, wykonane były prawie bez zarzutu, huczne zaś oklaski słusznie wynagrodziły doskonałą wykonawczynię wspaniałego poloneza Szopena, pannę Z. Janczewską. Panna Janczewska jest uczennicą Michałowskiego piękna jej gra na fortepianie znana jest publiczności, to też dłonie widzów były do oklasków przygotowane, nie lękając się zawodu. Inaczej rzecz się miała przy pojawieniu się na estradę panny Zofii Pelikańczyk Rychter, śpiewaczki. Pierwszy to był występ dopiero młodej dziewicy, uczennicy Szterlinga; powitano ją, oczywiście bravem, za które podziękowała parokrotnym ukłonem, i po chwili, przy akompaniamencie fortepianu, śpiewać zaczęła. Lekka bladość na twarzy i bardzo lekka trema — mówiły o silnem wrażeniu pierwszego występu, ale wnet p. R. opanowała zwykłe wzruszenie debiutantek i głosem pełnym, silnym, dźwięcznym o skali potężnej odśpiewała: „Fijołek“ Mozarta, następnie „Piosnka o Piosnce“ Kratzera. Grzmiące bravo i „bis“ zmusiły ją do powrotu na estradę. Piękny śpiew „Nie wraca“ Mateiego—był równie powitany jak najsłuszniejszem uznaniem. Panna Rychter ma głos wspaniały; mamy nadzieję, że nie raz jeszcze zechce nam śpiewem swoim, przy zdarzonej okoliczności, niejednę chwilę uprzyjemnić. — Niespodzianką tego koncertu była skrzypcowa gra pana Kreislera. Z powodu nagłej niedyspozycyi mającego śpiewać p. Mochana — wystąpił znakomity wirtuoz. Więc — koncert się powiódł. W imieniu biednych dziękujemy szanownej inicyatorce, pani Harthing, wykonawcom i gospodarzom, jako też i publiczności, która tłumnie napełniła salę.

??

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDĘ GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

IV.

— Ich liebe, du liebst...

— Cóż dalej?—Pyta młody professor siedzącej przed nim uczennicy. — Cóż dalej?

Panienka spuściła oczy i uśmiechnęła się kącikiem ust.

Miała najwyżej lat trzynaście.

— Ich liebe, du liebst... — zaczęła powtórnie i podniosła nagle na professora duże, czarne oczy.

A umiała już patrzeć.

Od dziesiątego niemal roku życia probowała siły swego demonicznego wzroku, na kim się tylko dało. Professor, zrobiwszy w myśli spostrzeżenie, że patrzące na niego oczy są prześliczne, posunął ku niej książkę.

— Proszę raz jeszcze przeczytać — rzekł.

Lekcya nie dobrze dziś szła...

Odsunęła książkę z grymasem, spuściła oczy i milczała.

Obserwował ją nieznacznie, przygryzając wąsa.

— Słucham,—rzekł znowu. — Cóż dalej?

Milczenie.

— Czy p. Lila nie umie lekcyi, czy tylko nie chce mówić dalej? — pyta, pochylając się ku niej.

Ani słowa odpowiedzi.

Delikatnie położył dłoń na małej rączce bawiącej się ołówkiem.

— Ich liebe...—szepnął znacząco.

Proszę powtarzać za mną. Konjugacye ważną są rzeczą!

Podniosła na niego oczy zalotne, wyzywające i krótko odcięła:—Nie chcę.

— Czemu?—zajrzał jej w oczy głęboko.

Nie zarumieniła się. Ze swobodą wytrawnej kokietki, wytrzymała jego spojrzenie bez zmrużenia powiek.

— Ja proszę, — dodał z naciskiem. — Bardzo proszę.

Uśmiechnęła się tryumfująco.

— Ich liebe, du liebst, er liebt, —zaczęła konjugować z niepomierną szybkością, to błyskając oczami, to wysuwając rękę z szerokiego rękawka i dotykając niby nieumyślnie opartej na książce ręki professora. Uśmiechał się pod wąsem, odsuwał rączkę, drażniąc się ze swawolnicą.

Lekcya się skończyła. Panienka, składając książki, westchnęła.

— Za czem?—pyta professor z uśmiechem.

— Pan odchodzi...—szepnęła.

— Więc co? — Przyjdę przecież jutro — rzekł wesoło.—Jeszcze się naprzykrzę p. Lili.

— Być może,—odparła swobodnie.—Teraz jednak jeszcze mi się pan nie naprzykrzył.

— A jak długo to jeszcze trwać będzie?—spytał.

— Nie wiem, nie wiem — zanuciła w takt jakiejś piosenki i zamyśliła się.—Pójdźmy do ogrodu,—rzekła nagle. — Babunia już dawno mówiła, abym się uczyła botaniki.—Pójdźmy? — Nie mam co robić, a w ogrodzie tak ślicznie!

Zerwała się szybko i ujęła rękę professora.

— Pójdź pan ze mną, proszę; będziemy się uczyli botaniki. To taka śliczna nauka, prawda?—Zaczniemy od kwiatów, od róż purpurowych, bo te lubię najwięcej.

Na toalecie u babuni leży jakaś książka o kwiatach; przeczytałam ją wczoraj i wiem już co który kwiatek znaczy: róża purpurowa i gwoździk oznaczają miłość gorącą. Jaka to jest miłość gorąca, p. professorze?—Proszę mi wytłómaczyć.

Wzruszył ramionami.

— Zawcześnie — rzekł. — Sam nie wiem zresztą.

— Powinieneś pan wiedzieć, — rzekła z udaną powagą. — Professor na każde pytanie przygotowanym być musi. A może pan zapomniał? No, to w ogrodzie sobie przypomnisz.—Chodźmy!

— Nie ma sensu, — szepnął, krzywiąc się nieznacznie.

Znudziła go już ciągłemi zaczepkami; ale pensya w Zagórowie była wysoką, wygody wszelkie, więc się nie wahał, chcąc być w łaskach u rozpieszczonej przez babkę despotki, przyjmować kokieteryjnych zaczepek i rozdmuchiwać w płomień tę zdradziecką iskrę, która się w oczach zepsutego dziecka paliła.

— To może kiedyindziej pójdziemy? — probował perswadować.

Rozgniewała się; uderzyła nóżką o dywan i zacięła usta.

Kapryśny, po matce odziedziczony charakter, od najmłodszych lat ujawniał się u Lili jaskrawo. Pobłażliwe wychowanie psuło do reszty samolubną dziewczynę.

— Tak chcę, tego nie chcę, tak być musi... oto słownik Lili odkąd się mówić nauczyła.

— Więc idziemy do ogrodu czy nie?—pyta raz jeszcze z marsem na czole. P. professor widzi, że sprzeciwiać jej się byłoby niebezpiecznie.

— Skoro pani chce koniecznie—rzekł—możemy

pójść. Czy babunia istotnie pragnie, abyś się pani uczyła botaniki?

— Babunia zawsze pragnie tego, czego ja pragnę. Chyba pan już wie o tem.

Wybiegła do ogrodu; professor, rad nie rad, pośpieszył za nią.

W parę miesięcy potem Lila wyjechała za granicę dla dalszego kształcenia się. Nawet p. Dolewska zauważyła, że lekcye botaniki i konjugacyi z pięknym professorem zanadto pochłaniają Lilę.

Dziewczę projekt podróży przyjęło z najżywszą radością i bez iskierki żalu pożegnało Rumszany, starych swoich przyjaciół, a nawet pięknego professora.

V.

Rozkoszny wieczór wiosenny. Odurzająca woń płynie z lasów i ogrodów. Śpiewacy majowych nocy, w olszowych gajach ukryci, perlistą kaskadą dźwięków napełniają powietrze.

Przez łąkę wartkim prądem płynie rzeka. To podsuwa się cicho pod opuszczone nizko gałęzie olch i wierzb, to wybiega na szeroką równinę i przejrzystym kryształem uśmiecha się niezapominajkom, malowniczo jej brzegi obrastającym.

Księżyc bladą swą tarczę wysunął z puszystych obłoczków.

Rzeka pod łagodną pieszczotą jego promieni wydaje się jakby uśpioną. Brzegiem jej towarzystwo z zagórowskiego pałacu zdąża ku domowi.

Lila, w przejrzystej bieli muślinów, w fantastycznym wieńcu z traw i leśnego bluszczu, w blasku księżycowych promieni, przypomina Ondynę. Idzie powoli z podniesioną głową, rozmarzona, milcząca.

Od czasu do czasu, gdy śmiech wesoły lub głośniejsze słowo dobiegnie do jej uszu, zsuwa brew gniewnie i przyśpiesza kroku, jakgdyby uciec chciała od towarzyszących jej osób.

Jest rozmarzona i zamyślona niezwykle.

— Ondyna śni o kryształowych pałacach w modrej toni ukrytych—rzekł wysoki blondyn, goniąc Lilę wzrokiem uparcie.

— Nie można jej przeszkadzać. A jaka śliczna! — szepnął cicho, jakgdyby wykrzyku tego stłumić nie zdołał.

— E!..—rzucił z lekceważeniem Lucyan Rolski, sąsiad i przyjaciel pytającego.

— Śni o pałacach hr. Zenona, którego złowićby rada. Szkoda dla p. Lili twoich poetycznych porównań, Stachu! — Blondyn westchnął, towarzysz jego roześmiał się serdecznie.

— Szkoda i twoich westchnień, biedaku,—rzekł znowu, krzywiąc pogardliwie nsta. — Nie spal-że się w tym ogniu, bo-bym cię żałował. Rób jak ja: kochaj się, ale nie wzdychaj. P. Lila tego nie lubi i—szepnął ciszej — i tego nie warta.

Ale ładna!—dodał po chwili.

— Dyabelnie ładna!—Gdyby tak piękna dusza odpowiadała cudownym kształtom, człowiek-by łatwo głowę stracił. Na szczęście, niebezpieczeństwo nam nie grozi. Przewaga materyi nad duchem jest u p. Lili aż nadto widoczną.

Blondyn słuchał i wzdychał.

— Taki jesteś surowy, — szepnął.

— Tylko sprawiedliwy, — odparł tamten, zapalając cygaro.

— Zdaje mi się, że znam Lilę nawskróś. Nie trudno poznać takie piankowe istoty.

— Ależ ona taka młoda jeszcze—bronił znowu Stanisław.

— Tem gorzej. Młodość ma to do siebie, że mimowoli lepszym wpływom ulega. Lila w osiemnastym roku życia jest już tak starą, jak moja matka nie jest w sześćdziesiątym. Znam się na tem.

Rzucił niedopalone cygaro i spojrzał na Stanisława.

— Cóż ty taki blady jesteś, Stachu?—spytał.— Wstydź się! — Anim przypuszczał, że tak odrazu dasz się w sieci zawikłać. Byłbym z pewnością nie powiózł cię do Zagórowa. Wyznam ci szczerze: znając twoje purytańskie zasady, twoje niesłychanie wysokie pojęcie o godności naszej niewiasty, znając twą matkę wreszcie, nie przypuszczałem, abyś w takiej Lili zagustować potrafił.

— Ty, marzyciel, poeta, i ona, taka materyalistka!

Stanisław westchnął.

— Daj temu pokój, Lucyanie,—rzekł rozmarzony.

W naturze jest dziwne fatum, które losami rządzi.

Ja, z mojemi purytańskiemi zasadami, jak je nazywasz, obcy dotąd miłości i nieczuły na wdzięki kobiece, zdaje mi się, że... od chwili, gdym ujrzał...

— Nie kończ! — zawołał Lucyan.

To zawcześnie. Tak ci się zdaje, dopóki nie poznasz innej, któraby urok tej zgasiła.

— Nigdy! — odparł Stanisław z mocą.

Czuję, że nie mógłbym pokochać tak po raz drugi.

— Jamais, toujours, c'est la devise de l'amour, —zaśmiał się głośniej Lucyan. Lila obejrzała się; przystanęła.

— O czem panowie rozmawiacie i z czego się śmiejecie? — spytała, zatrzymując na Stanisławie niezgłębione źrenice.

Lucyan podsunął się ku niej szybko.

— Stach, idealista,—rzekł wesoło,—oburza się na mnie jak zwykle, że nie umiem marzyć podczas majowych nocy, nie zachwycam się słowikami, a w stałość uczucia u kobiet stanowczo nie wierzę. Jakież jest zdanie pani?

— Zgadzam się z panem, — odparła bez wahania.

Nad mrugające gwiazdy, których blask opiewają poeci, wolę cudny połysk brylantów, zamiast marzyć podczas majowych nocy, wolę spać, aby wyglądać świeżo, a nad śpiew słowika przekładam duet Raula i Walentyny z Hugonotów.

Stanisław pobladł, ale wzroku od Lili oderwać nie mógł. Tak była śliczna w tym fantastycznym stroju, na tle szmaragdowej łąki, z wyrazem rozmarzenia w oczach, które się dziwnie ze słowami sprzeczało.

— To nie może być—myślał, patrząc na nią. — Ona pozuje tylko...

Umyślnie w błąd wszystkich wprowadza, ale serce ma czyste i gorące. Nie może być!..

Poszli dalej brzegiem rzeki, która ciemniała coraz więcej.

Ktoś odwołał Lucyana, zostali sami.

— Nie mogę uwierzyć, — zaczął Stanisław, cichym głosem—nie mogę uwierzyć, abyś pani nie odczuwała tego tajemniczego związku, jaki łączy duszę naszę z przyrodą. Zgadzam się z tem, że dla intellektualnej cząstki naszej istoty arcydzieła sztuki dają źródło rozkoszy, ale duch ludzki nie może zerwać ogniw, jakiemi ściśle spojony jest z przyrodą.

Po ustach Lili błąkał się uśmiech; czarne oczy rozgorzały świetnym blaskiem.

Zwróciła się do mówiącego i, magnetyzując go spojrzeniem, szepnęła: „Poeta!“ Głos był tkliwy i ten jeden wyraz jak pieszczota zabrzmiał w uszach Stanisława.

— Każdy z nas poetą być powinien w tem znaczeniu, w jakiem ja pojmuję poezyę, — odparł.

Siwe, pełne dziwnej słodyczy źrenice zatrzymały się na niej uparcie.

— P. Lilo, — szepnął bardzo cicho, bo głos mu drżał.—Pani pozujesz tylko, wszak prawda?—Powiedz mi to, o! powiedz, — prosił gorąco.

Lila popatrzyła na niego. Długo, długo ślizgały się oczy po twarzy młodego człowieka, klasycznie pięknej i uderzającej szlachetnym wyrazem.

— Nie wiem—szepnęła. — Sama nie wiem, doprawdy!... Poetyczne mrzonki nie bawiły mię nigdy, a z przyrodą nie znam się wcale. Życie wydaje się pięknem o tyle, o ile daje nam jak największą summę wrażeń, miłych, upajających. Chociaż...—posłała Stanisławowi spojrzenie głębokie, gorące—odkiedy pana poznałam, zaczęłam nieco więcej myśleć i zastanawiać się... Może gdyby kto mówił do mnie takim językiem, jak pan, byłabym inną.

Ślicznie jej było z tą smutną, jakby pokorną, minką.

Stanisławowi oddech zaparł się w piersi; uczuł się niewymownie szczęśliwym.

— Droga pani — rzekł wzruszony — życie jest pięknem, ale nie jest zabawką. Skierować je trzeba ku podniosłym, szlachetnym celom, aby pięknem było prawdziwie. Nie mogę na chwilę nawet przypuścić, aby taka czysta, piękna, jak ty, istota brała je w znaczeniu jednostronnem, w znaczeniu... które, daruj pani szczerość moję, zniżyłoby człowieka do rzędu tworów niższego ustroju. Czyż błahostki salonów mogłyby wypełnić życie pani tak niepodzielnie, że nie odczuwałabyś pragnień innych? Stanowiska kobiety nie możemy w tak szczupłym zakresie zacieśnić — mówił, ośmielony zajęciem z jakiem go słuchała.

Jest ono ważnem niesłychanie.

Poświęceniem, posuniętem nieraz do heroizmu, wytrwałością i łagodnością zdobywacie sobie cześć naszę i przykładem swoim hartujecie słabnącego częstokroć w mężczyźnie ducha.

Nie rozbawionych lub sentymentalnych niewiast nam potrzeba, ale odważnych bojowniczek na polu twardej walki życia, silnych miłością i zaparciem się siebie.

Zamilkł na chwilę, podniecony dziwnie, rozgorzały chęcią przelania w duszę Lili swoich przekonań.

Lila słuchała uważnie. Ten piękny, z twarzą Antinousa, a surowemi pojęciami szlachetnego myśliciela, wywierał na nią pewien urok.

Milczeli długą chwilę. Stanisław pochylił się ku Lili z niepokojem.

— Może znudziłem panią...—szepnął nieśmiało.

Uśmiechnęła się.

— Nie—odparła.—Słuchałabym pana z przyjemnością, gdybyś mówić jeszcze zechciał. Pan wyjątkowo nie nudzisz mnie... — dodała prawie szeptem.

Fala krwi napłynęła mu do czoła.

— Dzięki ci, pani — szepnął. — Szczęśliwy jestem!—odetchnął głęboko, jakgdyby temu szczęściu w piersiach jego zaciasno było.

Oczy Lili śledziły go z wyrazem pewnej ciekawości.

Wrażenie, jakie wywierała, sprawiało jej przyjemność.

— Mów pan jeszcze—szepnęła.

— Byłem wczoraj w Rumszanach—zaczął znowu niepewnym, wahającym się głosem. — Ze starym Maciejem znamy się oddawna; zaprosił mię na pogawędkę pod lipami, które były podobno ulubionem miejscem odpoczynku dla ojca pani...

Na ostatnich wyrazach zawiesił głos; po twarzy Lili przebiegł rumieniec.

Jakby mimowolnie, pod wrażeniem błyskawicznie odczutego upokorzenia, schyliła głowę, ale trwało to króciutką chwilkę.

— Czy tak? Nie wiedziałam — rzekła, prostując się dumnie. — Rzadko bywam w Rumszanach. Taka pustka! Zewsząd wieje zniszczenie i zatęchła woń przeszłości.

— Pustka, zaludniona jednak wspomnieniami, które dla serca pani powinny być drogiemi—rzekł Stanisław, teraz już bez wahania. — A woń przeszłości, dla mnie przynajmniej, posiada czar wiosennej woni...

Spojrzał na nią badawczo.

— Panno Lilo—szepnął—to przeszłość tak piękna, a pani mówisz o niej z takim chłodem. Niepodobna przecież, abyś jej nie kochała, aby pamięć o tych, którzy odeszli, nie wzbudzała w tobie czci i przywiązania. Urodą przewyższyłaś pani swoje prababki, sercem i charakterem musisz stać z niemi na równi.

Lila uśmiechnęła się.

— Nie dorosłam duchem, moim prababkom — rzekła spokojnie.—Czuję z przykrością, jak daleko od nich odbiegłam. One lubiły życie ciche, spokojne, miłowały pracę i wierne były jak Penelopa. Ja otwarcie wyznaję, lubię gwar i wesołość, posuniętą choćby do szału; pracować nie umiem, a cnota Penelopy wzbudza zawsze we mnie śmiech szyderczy. W stałość uczuć nie wierzę stanowczo, ani u kobiet, ani u mężczyzn.

Jest to wprost przeciwne naturze ludzkiej, która zmienną jest i chciwą coraz-to nowych wrażeń.

Wzruszyła ramionami.

— Enfin, przyznasz pan — dodała z lekkim uśmiechem, — że w dziewiętnastem stuleciu dziwnie-bym wyglądała, odtwarzając postać której z moich prababek. Nie mam odpowiednich kwalifikacyi.

Stanisław uśmiechnął się poważnie. Obrzucił spojrzeniem eteryczną jej postać, w białe muśliny spowitą, fantastyczny wieniec na powichrzonej grzywce, oczy ł ające się namiętnym ogniem i—przypomniała mu się łagodna spokojem i dobrocią twarz jego matki.

Kontrast tych dwóch kobiecych postaci uderzył go i spędził uśmiech z twarzy.

Lila myśli jego odgadła; zwróciła się ku niemu szybko i ciemne źrenice badawcze w twarzy jego utkwiła.

— O czem pan tak dumasz? — spytała wesoło. - Prababki rzuciły na pana czar jakiś...

— Przyznaję — odparł, śmiało odpierając jej wejrzenie.—Myślałem o tem, jakby to dobrze było, gdyby prababki nie były już tylko tradycyą...

Lila skrzywiła usta.

— O!—szepnęła—nie chciałbyś pan chyba, abyśmy teraz bawiły się kądzielą, rozplątywały motki jedwabiu i grywały w maryasza?

— Nie, pani!—rzekł. — Ale chciałbym, abyście panie umiały pogodzić ciche cnoty naszych prababek ze słusznym prądem teraźniejszych wymagań. Czasy są inne i warunki inne. Dziś kobieta musi dążyć do wyższego wykształcenia i brać czynny udział w pracach narodu. Jak dopełnienie mężczyzny, powinna zespolić się z nim pojęciami, umieć odczuć potrzeby jego ducha; być mu podporą i osłodą. Nie wolno nam traktować kobiety jako bawidełko.

— Trudno z panem walczyć—rzekła Lila i cień znużenia przebiegł po jej twarzy.

Czuła się zmęczoną. Poważne role wykreślała nawet z repertoaru swoich amatorskich występów. Stanisław pochylił się ku niej.

— Nie nazwiesz mię pani teraz poetą — rzekł z uśmiechem. — Oburzasz się pewno na mnie, że głosuję za zagładą pięknych egzotycznych kwiatów a pragnę mieć same pożyteczne rośliny. Odbiegłem daleko od poezyi, nieprawdaż?

— Nie mniej jesteś pan poetą — odrzekła — idealistą, goniącym złudne mary—dodała ciszej.— Dla mnie kobieta będzie zawsze zlepkiem fantazyi, kaprysów i bezmyślności.

Pochyliła się, zerwała kilka niezapominajek, zwilżonych rosą i podała Stanisławowi.

— Dla pamięci mile spędzonej godziny—rzekła i nie patrząc już na niego, odwróciła się do nadbiegającego Lucyana.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii

Jesteśmy tu jak za czasów greckich, gdy przebywały muzy na Helikonie. Lord Rosebery, prezes ministrów, ma przed sobą niełatwe zadanie mianowania poety laureata, a dzienniki rozbierają kwestyą: kto nim zostać może? Echo, odbite tajemniczo od ścian Akademii królewskiej, odpowiada: nikt! ale królowa Wiktorya stanowczo się temu sprzeciwia. Czyż nie ma już poezyi w państwie Wielkiej Brytanii, ojczyźnie Shakespeare'a, Byrona i na jakąż chorobę umarła? Gladstone odpowiada na to, że jest to może zaraza wieku, lecz dodaje stanowczo, że poeta ukoronowany przez naród powinien być siłą uznania całego tego narodu na tron swój wyniesiony, bo inaczej będzie tylko poetą nadwornym, i na tym argumencie rzecz się zahaczyła. Wielki starzec, jak Anglicy nazywają. Gladstona, dominuje tu podziśdzień zdaniem swojem i przerasta o głowę wszystkich radców królowej; za lat młodości swojej był to bardzo piękny mężczyzna z bujnym włosem czarnym; obecnie jest piękny w siwiźnie swojej, która mu nadaje powagę łagodną.

Uwielbiany przez naród angielski za prawość swoję, pod siłą żadnego interessu nigdy nie zachwianą, ma przecież politycznych nieprzyjaciół, pod których natchnieniem, jak przypuszczają, jedna z autorek angielskich, nosząca przez małżeństwo nazwisko francuzkie, Marya Dronsart, napisała w tym też języku książkę, wydaną w Paryżu „Wiliam Ewart Gladstone.“ Życiorys sędziwego męża stanu, skreślony na 380 stronnicach, jest faktycznie wyczerpującym i przez obfitość materyału stanowi rzecz cenną dla przyszłych biografów Gladstone'a; ale autorka, w sądach swoich o *wielkim starcu* niesprawiedliwa, nie ocenia jego szlachetnych usiłowań wydźwignięcia Irlandyi z niedoli, w jaką zepchnięta została przez fanatyzm i namiętną niesprawiedliwość Anglii a za którą *wielki starzec* ujął się szlachetnie, usiłując zagoić rany, przez które uciekało życie. Tutaj też kryje się zapewne przyczyna tego wyskoku, który przecież śladu po sobie nie zostawi, bo muza historyi złoży na jego grobie świadectwo, że był to mąż wielkiego umysłu i serca.

Jest tu mdlenie pewne w zamiłowaniu literatury i sztuki. Na dorocznej licytacyi dzieł sztuki obraz „Wygnanie Danta,“ pendzla najwyżej tu cenionego malarza i prezesa Akademii królewskiej Leighone, zeszłej wiosny nabyty za summę 13.554 franków, sprzedano za 8.574 fr., „Sąd Parysa“ malarza Etty, za który w 1872 r. dano 23.000 fr. spadł do połowy tej summy; a posąg Wenery, dłuta Canovy, arcydzieło, za które zapłacono niegdyś w złocie 36.000 franków, nabyto za 3.700 fr. Odzywają się przecież głosy stających w obronie magnatów angielskich, że mimo majoratów majątki przez konieczny podział ich pomiędzy dzieci drobnieją i ztąd oszczędzać im się trzeba. Niemniej umieją tu czcić świętości swoje i pamiątki po wielkich ludziach są wysoce cenione. Muzeum londyńskie nabyło świeżo za ogromne pieniądze nieznany dotąd, własnoręczny list Shakespeare'a, pisany w 1609 r. do lorda mayora Londynu, a winszujący mu tej godności; umieszczono go w pugilaresie srebrnym, artystycznie grawirowanym.

Pieniądz gra tu ciągle wielką rolę. Pewna Amerykanka, Ewelina Banks, czytając często w dziennikach angielskich zarzuty czynione jej narodowi za zmateryalizowanie się i pysznienie przedewszystkiem z bogactw swoich, zapragnęła uczynić pewnego rodzaju próbę, jak rzeczy te stoją w Anglii, i zamieściła w dziennikach ogłoszenie, że młoda, bogata amerykanka pragnie opieki jakiej pani z wysokich sfer towarzystwa angielskiego, aby mogła być wprowadzoną za jej pośrednictwem w koło wyższego towarzystwa angielskiego, dodając tu bardzo sute warunki pieniężnego wynagrodzenia za trud takiej opieki. W przeciągu trzech dni miss Banks otrzymała osiemdziesiąt siedem listów od dam z bardzo wysokiego towarzystwa, które, obiecując jej opiekę macierzyńską, illustrowały rzecz obrazami wszelkich możliwych przyjemności, z jakich-by pupilka ich korzystać mogła. Miss Banks, pragnąc, aby doświadczenie było przeprowadzone gruntownie, odpisała jednej z tych pań dostojnych, że jakkolwiek posiada tak majątek, jak i wykształcenie odpowiednie, ale rodzina jej, z którą dostojna jej opiekunka musiałaby się stykać, nie posiada tego poloru towarzyskiego, do jakiego dama tak wytwornego towarzystwa jest przyzwyczajoną, na co odebrała odpowiedź, że wszyscy uczciwi ludzie są sobie równi.

— Skoro mają pieniądze...— odpisała mściwie miss Banks i nie można zaprzeczyć, że do pewnego stopnia zaczyna się tu tak dziać.

Kto wie, zali to zniżenie się uczuć szlachetnych nie jest skutkiem zmiany podstaw, na jakich opierała się tu niegdyś rodzina. Małżeństw zawiera się tu coraz-to mniej, a prassa angielska, notując ten fakt smutny, oskarża o niego kobietę. *Pall-Mall Gazette* podniosła tę kwestyą w obszernym, wyczerpującym traktacie pod tytułem: „Stagnacya małżeństwa.“ Matki źle dziś wychowują córki, otaczają je od dzieciństwa rozmiękczającemi, siłę do pracy odbierającemi wygodami, ukazują im szczęście pod postacią używania, bo i same łączą życie wytworne z uczuciem godności człowieka. Fałszywie nazywają to dobrem wychowaniem, skoro dziewczę niezamożne kształci się tak, jak córki magnatów, w czem zaślepione ich matki widzą jakoby wyrównanie majątkowych różnic. „Jest to rzeczą równie nierozsądną, jakgdyby ktoś pobudzał apetyt, skoro żołądek nie ma co przyjąć“, pisze autor, a gdy redakcya gazety wyjawiła następnie, że traktat ten o wychowaniu był poprostu przedrukiem artykułu *Pall-Mall Gazette* z 1772 r. dowiodło to tylko, że złe jest zadawnionem i że należy tem usilniej usuwać je, aby nie przeniknęło wskroś społeczeństwa.

Wskutek takiego układu życia zmniejsza się też z roku na rok liczba małżeństw. Mężczyzna lęka się tego brzemienia, jakie wziąć musi na barki, tworząc rodzinę i zostaje samotnym, tak, jak samotną musi być ta, która, przy innym poglądzie na świat i życie, byłaby kochaną i kochającą małżonką, szczęśliwą matką dzieci, strażniczką jednego z tych płomieni świętego ognia, przy którym grzeją się serca ludzkie. O własnej sile musi nieść brzemię swoje. Powstała też tutaj instytucya, bardzo wobec takich stosunków użyteczna: „Stowarzyszenie zabezpieczenia losu starych panien.“ Jest to rys charakterystyczny naszych czasów: jeżeli stowarzyszona nie pójdzie za mąż do lat czterdziestu, otrzymuje od towarzystwa summę, odpowiadającą wysokości złożonych pieniędzy, wraz z procentem od procentów; w razie przeciwnym składki jej przechodzą na korzyść stowarzyszenia i powiększają ogólny majątek zakładu.

A zawiera się tu właśnie małżeństwo, zwracające uwagę ludzi, jakiem będzie w skutkach swoich dla tych, którzy je zawierają? Lord Asquith, magnat w całem znaczeniu tego wyrazu, wdowiec, liczący już lat pięćdziesiąt, zaręczył się z panną jeszcze nie dwudziestoletnią, Małgorzatą Tennaut, córką bogatego właściciela kopalni siarki, osobą bardzo piękną, bardzo wysoko wykształconą, a należącą do stowarzyszenia „Souls,“ to jest dusz, które warto jest w celach jego poznać. Stowarzyszenie uważa ludzi, leniwych, czy obojętnych, którzy nie przyczyniają się w niczem do postępu w dobrem: w moralności, oświacie, za istoty bezduszne; celem stowarzyszenia jest też uduchowienie świata przez krzewienie dobra. Talent posiadany wkłada na stowarzyszonego obowiązek działania za jego pośrednictwem, i tak jest z wszelką siłą, z wszelkiem bogactwem człowieka. Minister Balfour należy do stowarzyszenia a chociaż wiele osób z tego grona odznacza się dziwactwami, za wolność ducha uważanemi, stowarzyszenie jest bardzo pożyteczne; jedną zaś z gałęzi jego celów jest szerzenie sztuki szlachetnej, któraby oddziaływając na wyobraźnię, przedstawiała ludziom piękno czyste, broniące od zagrzęźnięcia w używaniu przyjemności, niegodnem człowieka. Muzyka i poezya stoją tu na planie pierwszym.

Ciężki los wdów indyjskich wzbudził wśród filantropów i filantropek tutejszych litość czynną, i zawiązało się kółko, złożone z osób pragnących wpłynąć na poprawienie tego stanu. Hindustańczyk, wykształcony na moralnych pojęciach Europy, więc wyzwolony już z jarzma okrutnych przesądów swego narodu, Devendra Das, napisał i wydał świeżo w Londynie książkę, malującą okrutny los wdów w Indyach: „Sketches of Hindoos life.“ Indyanka zostająca wdową, staje się od chwili śmierci męża ofiarą najokrutniejszych znęcań się rodziny mężowskiej. Dawniej palono je na stosie wraz z ciałem zmarłego męża; obecnie, gdy prawo angielskie nie pozwala na to okrucieństwo, dola ich stała się jeszcze cięższą może. Przytomna spaleniu zwłok męża, obsypywana bywa najcięższemi zniewagami, postępuje wśród pochodu pogrzebowego na końcu orszaku po za jego rodziną, jako zniesławiona ulegać też musi okrutnej ceremonii oczyszczenia, to jest wloką ją do wody i zanurzają w niej sposobem okrutnym, a następnie staje się niewolnicą teściowej, która ma nad nią moc nieograniczoną. Autor obliczył, że jest w Indyach takich nieszczęśliwych istot sześć milionów, a w samej Kalkucie sześćdziesiąt tysięcy. Ledwo że odziane, oddzielone od towarzystwa rodziny, od uroczystości religij-

nych, dręczone są na rozmaite sposoby. Dwa dni w każdym miesiącu suszyć muszą tak, że nawet kropli wody do ust ponieść nie mogą, a ten, któryby im podał okruszynę chleba, kubek wody, uważanym-by był za świętokradcę, człowieka bez czci, bez wiary. Dawniejsze prawo palenia żywcem na stosie było niemal lepsze. Devendra Das, którego umysł oświecony wzdryga się na te barbarzyństwa, dlatego książkę swą napisał, dlatego wydał ją w Londynie, aby Anglia dowiedziała się dokładnie, co się dzieje w obszarze jej posiadłości.

Londyn oglądać będzie tego lata w murach swoich dwóch władców wschodnich: Kedywa egipskiego, Abbasa baszę, i szacha perskiego. Szach przybędzie tu dopiero w Lipcu, nie bojąc się zapewne upałów, przed któremi Londyńczycy uciekają na bory i lasy; ale kedyw ma tu stanąć niedługo i już czynią przygotowania na jego przyjęcie. Dziad jego, Izmael basza, będąc w Londynie w 1868 roku, był tu także przyjmowany bardzo uroczyście przez lorda aldermana, czyli burmistrza i rajców miejskich, którzy mu ofiarowali honorowe obywatelstwo miasta w złotej skrzynce. Taką samą złotą skrzynkę wraz z dyplomem obywatela londyńskiego otrzyma Abbas basza, a jak zwykle, kosztować ona będzie 100 gwinei.

Trzymają się tu ludzie tradycyi pod względem każdym. Lord Duglas Woodhouse magnat szkocki, ofiarował królowej Wiktoryi starożytne puzderko z perłowej maszy, w którym mieścił się naszyjnik, kolczyki i spinka należące do nieszczęśliwej Maryi Stuart. Królowa, przejęta do tych pamiątek anglosaksońskiem, parytańskiem uczuciem niechęci, przyjąć tego nie chciała; podobnie nie chciała nabyć do galeryi królowskiej w Windsorze portretu Karola II, który wystawionym był na licytacyę, i skłoniła się do tego dopiero, gdy przedstawionem jej zostało przez Izbę Wyższą memorandum, proszące ją o to w imię narodu, aby pamiątki po monarchach Anglii nie wyszły poza kraj.

Królowa spodziewa się w tym roku wizyty wnuka, cesarza Wilhelma, i z tego względu restaurują zamek Osborne na wyspie Wight, gdzie gość ma zamieszkać. Dobudowują skrzydło, mieszczące dwadzieścia pokoi sypialnych i dwie łazienki; wzniesienie tej dobudowy kosztować ma 7.500 funtów str., ale królowa, choć nie rozrzutna, skąpą nie jest, zwłaszcza, gdy chodzi o to, co dotyczy godności jej lub rodziny. Na urządzenie sali indyjskiej w zamku Cowes wydała królowa w ciągu lat kilku 25.000 funtów st. Stare pamiątki, stare zabytki czcząc, pragnie też tego, aby uczucie to przenikało naród angielski, i gdy rada miasta Londynu nie chciała w niedzielę otwierać muzeów publicznych, odwołała się do lorda mayora z życzeniem, aby, ze względu na czas wolny ludzi pracujących w dnie robocze, wszelkie zakłady tego rodzaju otwarte były.

Wdowa po zasłużonym w nauce człowieku, Tyndalu, zamierza skreślić biografią męża i w tym celu rozesłała listy do ludzi uczonych, z którymi zmarły był w korrespondencyi, prosząc, aby przesłali jej wszystko, co tu materyałem być może. Królowa Wiktorya, dowiedziawszy się o tem, natychmiast napisała do pani T. że wszystkie archiwa korony są dla jej poszukiwań otwarte, dodając, że małżonka, która sławę i zasługi męża swego dla narodu ceni, jest dostojną i szlachetnie kochać umiejącą kobietą.

Henryk.

Podróż do bieguna północnego.

Z DZIENNIKA KOBIETY.

Jak owa magnesowa góra w bajce i podaniu, tak nęci ku sobie z nieprzepartą siłą biegun północny, od trzystu lat przeszło, i pomimo tragicznego losu, jaki był udziałem wielu śmiałków, zapuszczających się w niezbadany ten labyrynt lodowy począwszy od pierwszej wyprawy około 1537 r., zawsze jednak znajdują się odważni, stawiający życie swe na szali.

JÓZEFA I ROBERT PEARY.

Obecnie znów trzy oddzielne wyprawy probują szczęścia, a w maju roku bieżącego gromadka nieustraszonych zamierza podążyć torem, z którego tylu nie powróciło. Anglicy, Amerykanie, Skandynawczycy walczą o zaszczyt zdobycia tej twierdzy niedostępnej,—której dotąd żaden z biegunowych bohaterów nie zbadał. Nie trwoży ich ani niebezpieczeństwo przerażających mrozów,—ani męczarnie głodu, którym nie oparli się ich poprzednicy, ani też smutny przykład losu Franklina i setki jego nieszczęśliwych współtowarzyszy,—których śmierć opłakał cały świat cywilizowany. — Gdy Franklin przepadł w niezbadanych lodowych okolicach, współubiegały się wszystkie narody o to, aby dowiedzieć się o ostatecznym losie bohatera, a żona jego poświęciła wszystko, aby go odszukać; jedynem, lecz smutnem, zadosyćuczynieniem dla niej było to, że właśnie wyprawa urządzona jej staraniem stwierdziła ostatecznie śmierć Franklina oraz jego towarzyszów. Dlatego też nazwisko pani Franklin nazawsze związane zostało z historyą wyprawy do bieguna i od niej wzięła nazwę zatoka stanowiąca, punkt wyjścia ostatniej, tragicznej podróży do tych niezbadanych okolic.

I znów imię kobiece wplątanem zostało do historyi wypraw podbiegunowych, lecz tym razem kobieta, o której mowa, była do tego stopnia odważną, że zapragnęła towarzyszyć w podróży mężowi, podzielić jego trudy, niewygody i niebezpieczeństwa. Porucznik amerykańskiej marynarki Robert E. Peary przedsięwziął w r. 1891—1892 podróż w puste okolice Grenlandyi i odbył ją z pomyślnym rezultatem i korzyścią dla nauki.

Obecnie znów okrąża te wybrzeża, dążąc może do upragnionego celu jakim jest dostanie się do samego bieguna. Żona jego, M-rs Josephine Diebitch-Peary, była mu nieodstępną towarzyszką; we Wrześniu ubiegłego roku została matką, a dziecię to może się zaliczać do najwyżej urodzonych, gdyż podbiegunowe jego pochodzenie, zkąd dotychczas nikt się jeszcze nie wylegitymował, nadaje mu do tego prawo. — Odważna ta kobieta zebrała szczegóły swej podróży w książce niedawno wydanej pod tytułem: „Polarny mój dziennik czyli rok między lodowcami wśród ludu Eskimo.“ Rok cały spędziła w okolicy, nigdy nie zwiedzonej dotąd przez żadną cywilizowaną kobietę, — poznała życie, obyczaje ludu, zamieszkającego strony najbardziej na północ posunięte, i doznała wrażeń i niebezpieczeństw, na jakie żadna dotąd kobieta nie narażała się. Dwanaście mil dzieliło ją tylko od miejsca, gdzie Kane i jego towarzysze przecierpieli tak straszne męki; gdzie ludzie Greely'ego powymierali z głodu jeden po drugim, a dziesięć mil zaledwie od miejscowości, gdzie zmarzli i cierpieli niedostatek członkowie wyprawy Hayes'a oraz część załogi „Polarnego.“ Latem wspinała się na skały pokryte porostami, zbierała kwiaty, polowała na zające, pardwy i kaczki w dolinach i na jeziorach, a nawet na foki, morsy i zęborożce; w zimowe ciemne noce, trwające całe miesiące, delikatne jej paluszki wykonywały odzież niezbędną dla męża i całej załogi w czasie tej długiej podróży przez lodowce Grenlandyi.

Gdy „Kite,“ mały parowiec, wiozący podróżnych z St. Johns do Grenlandyi, opuścił Upernawik, miasto leżące najdalej na północy, wylądowali oni na wyspach Kaczych, przy wejściu do niebezpiecznej zatoki Melville, gdzie rybacy oczekiwali ruszenia lodów, aby rozpocząć połów wielorybów.—Tu należało polować na gęsi islandzkie, i zebrać zapas jaj na zimę. „Wkrótce“—mówi M-rs. Peary,—dotarliśmy do wybrzeża i rozpoczęło się polowanie, którego nieraz czytałam opisy,—lecz nie spodziewałam się nigdy być świadkiem. Gęsi wznosiły się nad nami w licznych stadach; a gniazda ich wielkości kurzych, z samego puchu zwite, zawierały od trzech do sześciu jaj każde, przytem nie były wcale w kryjówkach, lecz w miejscach zupełnie widocznych na skałach. Niestety, wszakże, przybyliśmy zapóźno! Jajka były już w części zalęgłe—a na 960 sztuk, znaleźliśmy tylko 150 dobrych.“

„Nie zabrawszy z sobą strzelby, zajęłam się zbieraniem puchu, i w ciągu pięciu godzin zgromadziłam czterdzieści trzy funty.“

Podróż była długotrwałą a niekiedy niebezpieczną. „Jakkolwiek widzieliśmy, że jesteśmy uwięzieni pomiędzy potężnemi i wzbudzającemi trwogę lodami zatoki Melville, jednakże niezwykłość naszego położenia sprawiała mam pewną przyjemność. Usilne starania, aby wydostać się z tego więzienia, nastąpiły po chwilach zupełnej bezczynności i odrętwienia, działając już-to podniecająco, już przygnębiająco na nasze usposobienie i wzbudzając w sercach naszych, to radość, to znów zwątpienie. Nowość naszego położenia przyczyniała się jednak przeważnie do utrzymania dobrego humoru, a wszystkie nasze kłopoty ustępowały szybko na rozkaz „fire up“ i przy stłumionym odgłosie obrotu śruby.

Widok naszego małego statku, torującego sobie drogę wśród brył lodowych, był nadzwyczaj zajmujący, i nie znużył nas nigdy; olbrzymie masy lodu dawały się łatwo na bok odrzucać; niekiedy odłamała się część wielkiej bryły, wtłaczając się pod większą jeszcze bryłę, którą następnie wypchnęła ze swej kolei, opróżniała powierzchnię, a lód w pobliżu kotłował się z hałasem. Następnie dojechaliśmy do niezmierzonej okiem, twardej skorupy lodowej, której nasz statek siłą swą ani przebić, ani poruszyć nie zdołał; lecz wcisnąwszy się na nią, jak na konia, przesunął się powoli w kierunku jej brzegu, aż dostał się na słabszy lód, pękający jak szkło; pod tym naciskiem odłamy lodu pchały się i piętrzyły jeden nad drugim z chrzęstem i łoskotem, tworząc takie same grube bryły, jak poprzednio, lecz poczciwa nasza stara „Kite“ odsuwała je na bok, niezważając na te jęki i stękania. Przez znaczną część nocy i następnego dnia jeździliśmy naprzód i w tył, tam i napowrót, usiłując utorować sobie drogę przez lód, lub okrążyć to pole lodowe, w obawie, aby nasza „Kite“ nie uwięzła między dwiema skorupami.

Z dnia na dzień doznawaliśmy zawodu, choć ląd stawał się już widocznym, przestaliśmy już zatem wierzyć w swoje oswobodzenie. Potężne

góry lodowe, stojące silnie na powierzchni, wzmacniały opór lodu, a dopóki te się trzymały, nie można było oczekiwać ogólnego ruchu brył lodowych. W końcu jednak doczekaliśmy się tej chwili, odetchnęliśmy wszyscy—i odtąd jechaliśmy naprzód bez przeszkody. Ukazał się oczom naszym długi łańcuch gór lodowych przy Cap York; niektóre z nich mają od 200 do 800 stóp wysokości, a przeszło angielską milę w kierunku długości. Perspektywa na tej części grenlandzkiego wybrzeża jest cudnie piękna. Pomiędzy stromemi, czerwono-brunatnemi rafami znajduje się znaczna ilość małych lodowców, sięgających aż do wybrzeża. Niezmiernie malowniczy był wjazd do Wolstenholmesund, strzeżonego przez olbrzymie góry lodowe. Saunders Island w oddali oraz Dalrymple Rock bezpośrednio na pierwszym planie rysowały się jak dwa potężne, czarne olbrzymy, stanowiąc dziwny kontrast ze śnieżnemi górami okolicznemi i czerwonemi rafami po obu stronach stałego lądu".

Dnia 26-go Lipca byli wreszcie u celu, nad brzegiem Cormick-bai, pomiędzy kołem podbiegunowem a biegunem północnym. Jednakże podróż nie odbyła się bez wypadku. Porucznik Peary złamał prawą nogę między kolanem a kostką; żona pielęgnowała go z poświęceniem i troskliwością aż do zupełnego wyzdrowienia. Zaraz po wylądowaniu zajęto się budową domku, zwanego Redcliffehouse, który był poprostu rodzajem szałasu z desek zbitego, gdzie rok cały przebyła odważna gromadka. „Pewnej nocy, wkrótce po naszem osiedleniu się na tem wybrzeżu" opowiada młoda kobieta, „ludzie nasi spali na pokładzie „Kity" ja zaś z moim chorym mężem, pozostałam zupełnie sama w namiocie na południowem wybrzeżu Cormickbai. Zapomniałam kazać sobie przynieść broń, i bezustannie rozmyślałam nad tem, co uczynię, w razie gdyby jaki nieproszony gość, niedźwiedź naprzykład, zajrzał do naszego namiotu. Rozmyślania moje przerwało niezwykłe mruczenie i parskanie w kierunku wybrzeża; zaciekawiona, wyjrzałam z namiotu i spostrzegłam gromadę białych wielorybów, igrającą w wodzie wprost naszego namiotu; bawiły się jak dzieci, goniąc się, zanurzając i pryskając wodą na siebie".

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż wraz z uchwałą o reorganizacyi nadzoru fabrycznego i urzędu mechaników gubernialnych ogłoszoną tam została uchwała o szerszem stosowaniu przepisów, dotyczących dozoru nad zakładami fabryczno-przemysłowemi; ogłoszono też przepisy o stosunkach wzajemnych między robotnikami a fabrykantami.

— Na wyspie Świętej, wznoszącej się na morzu Kaspijskiem, odkryto u brzegów bogate ławy koralowe. Korale te odznaczają się piękną barwą różową i mogą stać się przedmiotem korzystnego handlu.

— Dzienniki petersburskie piszą o udzieleniu kredytów rządowych na potrzeby rolnictwa, a to: 12.000 rs., na delegacye urzędników za granicę dla badania urządzeń rolniczych, 5.500 rs. na utrzymywanie pól doświadczalnych, 25.000 rs. na zasiłki dla Towarzystw Rolniczych, 20.000 rs. na poparcie rozwoju rybołówstwa i 50.000 rs. na potrzeby łączące się z uprawą roli.

— Na sessyi Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, prezes Towarzystwa, ks. Tadeusz Lubomirski podnosił głos w sprawie działalności tanich kuchni, zwracając uwagę na zmiany, jakie tu zaszły. Tanie kuchnie przeznaczone są według ich ustawy dla ubogiej ludności miasta; przecież obecnie stały się one jadalniami ludzi średnio zamożnych i przewyższają potrzeby robotników, wyrobników. Rozprawy, które się ztąd wywiązały, doprowadziły do zamiaru zadosyć uczynienia potrzebom obu warstw ludności; nie zmieniając dotychczasowego charakteru takich kuchni, postanowiono urządzić je w ten sposób, aby obok jadalni dla klas intelligentnych istniały jadalnie dla wyrobników i robotników. Zmiana ta zaprowadzoną będzie w miarę posiadanych na ten cel środków.

— Testament ś. p. Stanisława Kronenberga mieści zapisy na cele użyteczności publicznej, a to: 1) na stypendya dla studentów uniwersytetu warszawskiego 5.000 rs., na stypendya dla uczniów gimnazyów 30.000 rs., na Kassę pomocy naukowej imienia Dra Mianowskiego 40.000 rs. Z funduszów ofiarowanych na rzecz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności założone zostaną warsztaty przy zakładzie sierot imienia Jachowicza, których na początek będzie trzy, noszących nazwę ich fundatora: introligatorski, krawiecki i szewcki. Nauczać tu będą wykwalifikowani majstrowie. Dozór nad warsztatami urządza Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Warsztaty otwarte zostaną z rokiem przyszłym, instrukcye dla nich wygotuje p. Józef Juszczyk.

— P. Kazimierz Gliński napisał *Elementarz dla pilnych dzieci*, ułożony z dokładną znajomością pedagogiki, a cena jego jest 2 kop. Wydała go księgarnia S. Bukowieckiego i jest to razem poczciwie dobry uczynek.

— Komitet kolonii letnich przyjął po dzień 13 Kwietnia dowody legitymacyjne od 2.097 dzieci. Był to dzień ostatni przyjmowania świadectw i zapisywania małych kandydatów do odetchnięcia świeżem powietrzem.

— Właściciel Wilanowa, hr. Branicki Ksawery, oświadczył gotowość ofiarowania gruntów swoich dla wszelkich prób, jakie zaproponuje sekcya rolna, której delegacya postanowiła przeprowadzić tam obecne doświadczenia z kartoflami, a w lecie z oziminą. Próby odbywać się będą na folwarku Służewo.

— Komitet plantacyjny, obradujący pod przewodnictwem inżyniera Dubeltowicza w sali posiedzeń warszawskiego magistratu, uchwalił obsadzenie w roku bieżącym drzewami iglastemi skwerów naszego miasta i Ogrodu Krasińskiego. W czasie tegorocznej wiosny powstaną nowe skwery: na ulicy Przejazd i Dzikiej, na Pradze przy wodociągu, oraz przed barakiem kuchni ludowej. Z powodu niedostatecznego funduszu tylko skwer przed Zamkiem będzie ogrodzony słupami żelaznemi, inne otrzymają sztachety drewniane.

— Z powodu opóźnionej dostawy ze Szwecyi czarnego granitu na podstawę pod pomnik Kopernika na Krakowskiem-Przedmieściu, dopiero obecnie przystąpiono do obrobienia cokułu, piedestału i gzymsu, czyli płyty wierzchniej. Piedestał o trzech stopniach będzie z czerwonego granitu finlandzkiego. Projektowane podniesienie podstawy pomnika o jeden łokieć wyżej nie zostało przez władzę budowlaną przyjętem z uwagi, aby pomnik nie stracił swej pierwotnej cechy. Obrobienie i oszlifowanie granitów zabierze czas aż do końca Czerwca, zatem dopiero w Lipcu usuniętą zostanie stara podstawa. Sztachetki, okalające pomnik, obejmą szerszą przestrzeń, łącznie ze skwerem, który po ukończeniu robót przebudowy zostanie urządzonym. Koszt robót wyniesie 8.000 rs.

— Kopuła kościoła powązkowskiego została już zupełnie wykończoną i odejmują już rusztowania szczytowe. Wierzchnia część świątyni jest już otynkowana.

— Fotograf p. Jankowski zamierza wytworzyć z szeregu obrazów, zdjętych z Jasnej Góry i Częstochowy, album, wśród którego przeważać będą widoki klasztoru i kościoła, a to: kaplica Najświętszej Panny, refektarz klasztoru, biblioteka, skarbiec. Widoków tych ma być pięćdziesiąt, i jeżeli album to będzie odpowiadało wymaganiom artystycznym, zapewne rozejdzie go się liczba znaczna. Niektóre z widoków będzie można nabywać oddzielnie, z czego korzystać będą niewątpliwie liczne rzesze pielgrzymów. Pierwsza kompania przybyła z płockiego w Wielkim Tygodniu; na Zielone Świątki bywa ich zwykle bardzo wiele ze stron różnych.

— W Salonie Krywulta wystawiona akwarella Czesława Jankowskiego „Kaplica w Rabce" pociąga wzrok charakterystycznemi postaciami górali, podobnie jak i akwarella Felixa Jasińskiego, przedstawiająca „Lud modlący się przed kościołem" oraz Stasiaka „Przed chałupą." Rodzajowe te obrazki pociągają wzrok miłym powabem swojskim. W Salonie Artystycznym na Nowym Świecie wystawiono na dni kilka dwa płótna Siemiradzkiego. Studya to są do znanego obrazu „Swieczniki chrześcijaństwa."

— Zbiór obrazów wysłanych przez artystów naszych do Chicago, a obecnie mieszczących się w San Francisco, znalazł nabywców na dzieł tych sztuk szesnaście. Między nabywcami jest p. Erazm Jerzmanowski z Nowego Yorku.

— Donoszą z Krakowa, iż delegat namiestnictwa i prezes klimatyki w Zakopanem, Dr Chramiec, zajęli się energicznie odpowiedniem urządzeniem tej miejscowości. Wydzierżawiono Chałubińszczyznę na park, w którym urządzone będą odpowiednie rozrywki. Dwunastu członków „Krakowskiej Harmonii" wytworzy dobrą kapelę, zaprowadzone będą wodociągi. Choć sezon jeszcze się nie zaczął przebywa stale w Zakopanem blizko sto osób.

— Malarz i literat Włodzimierz Łuskina umarł w Krakowie po długiej chorobie piersiowej. Artysta literat zbierał przed dwoma laty w Paryżu notatki do pracy swojej, lecz posądzony o szpiegowstwo na rzecz Niemców, został uwięzionym i zanim sprawa się wyjaśniła, przesiedział pod kluczem dwa miesiące. Umierając, liczył lat 44; urodzony był w Witebsku.

Sprostowanie.

W N rze 15 „Bluszczu" w wierszu Kazimierza Glińskiego: „Wśród fal."

strofa 2 w. 3	zamiast	*gwiazda*	powinno być	*gniazda*
„ 4 „ 4	„	*owionął*	„	*wionął*
„ 4 „ 6	„	*nurza*	„	*muska*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu" dołącza się: **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner," przekład z angielskiego ark. 4-ty.

TREŚĆ: Bertel Thorwaldsen, przez ... — Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—List z Anglii, przez Henryka.—Podróż do bieguna północnego. Z dziennika kobiety (z portretami). — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty T. I, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner. przekład z angielskiego.— 31 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 6 Апрѣля 1894 г.